

Zbawienie albo potępienie.
Wybór należy do NIEGO

SEKTA



MONIKA MAGOSKA-SUCHAR

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<https://editio.pl/user/opinie/sektae>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8773-7

Copyright © Helion S.A. 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Edward

*Niech się nie trwoży serce wasze.
Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie!*

(J 14, 1)

Sala teatru pękała w szwach. Z zadowoleniem patrzyłem na tłum zgromadzony pod sceną i na otaczających ją balkonach. Wszyscy czekali tylko na mnie. To dla mnie tu przyszli, to ja oderwałem ich od codziennych zajęć, od rutyny, od nudy. Przygnały ich tu ciekawość, chęć poznania, ale podziałała też fama mojego nazwiska. Oczekiwali słów pocieszenia, nadziei, cudu — i tylko ja mogłem im je zapewnić.

Czułem w sobie moc, Boską potęgę. Siła Stwórcy wypełniała każdą moją komórkę. Byłem gotowy do działania, dumny i mocarny. Wszechwładny. Wiedziałem, że tej nocy odmienię życie wielu tutaj zebranych. Sporo z nich pójdzie za mną, bo tylko ja byłem w stanie nadać sens ich marnemu jestestwu.

— Wszystko gotowe, Najwyższy. — Za moimi plecami odezwał się jeden z kapłanów pomocniczych.

— Zaraz przyjdę — odpowiedziałem, jeszcze chwilę sycąc wzrok czekającą na mnie tłuszcza.

Za chwilę wstąpi we mnie Duch Boży, a wtedy nie będę miał już możliwości, by cieszyć się tym widokiem. Widokiem swojego triumfu i efektu ciężkiej pracy. Oczy przysłonią mi wizje zesłane przez mojego Ojca w niebie i nic innego nie będzie już miało dla mnie znaczenia, prócz przekazania jego słów i woli.

Gdy mój podwładny odszedł, wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę i pociągnąłem kilka łyków specjalnie przygotowanego

na tę okazję napoju. Wraz ze środkami psychotropowymi, które wzięłem wcześniej, dawał rezultat, na jakim mi zależało — nakręcałem się, osiągając duchową ekstazę. Hostessy podawały widzom napoje z podobną mieszanką. Kwestią chwili było, kiedy wybuchnie religijny szal.

Narzuciłem na marynarkę haftowany złotą nicią ornat i otoczony światą złożoną z duchownych ruszyłem na scenę.

— Oto przed państwem jego eminencja Edward Collins, Pontifex Maximus, Mistrz Wszelkich Ceremonii, Najwyższy Dominus Kościoła Odrodzonego Chrystusa, Pana i Króla, założyciel fundacji Zdążyć ze Zbawieniem i stowarzyszenia Ratunek dla Świata, guru chrześcijańskich zborów Chrystusowych, autor niezliczonych publikacji, mówca motywacyjny i trener personalny — zapowiedział mnie spiker.

Gdy wszedłem na podwyższenie, rozległy się euforyczne krzyki i piski. Kobiety płakały na mój widok, mężczyźni żegnali się zawzięcie, niektórzy padali na klęczki, jak przed świętym. Część ludzi już mnie znała, podążała za mną niczym za Chrystusem. Traktowała tak, jak chciałem być traktowany. Inni byli nowi. Przybyli tu, by mnie sprawdzić, by na własne oczy zobaczyć cud. Ludzie małej wiary, sceptycy. Myśleli, że jestem oszustem, nazywali mnie fałszywym prorokiem, ale ja zamierzałem stać im czoła i wykazać, jak bardzo się co do mnie mylili. Byłem niezniszczalny, byłem ponad nimi, bo mną, w przeciwieństwie do nich, kierowały Boża moc i Boża ręka, a to dawało mi siłę, której nie mają zwykli śmiertelnicy. Nikt i nic nie mogło stanąć mi na drodze w realizacji celu, a tym celem było...

— Zbawienie — zagrzmiałem do mikrofonu umieszczonego na mównicy. — Zbawienie to coś, o czym zapominamy. Zapominamy o jego roli, o tym, że jest dla nas najważniejszym i jedynym celem. Że powinniśmy przez całe życie do niego dążyć, bo przecież śmierć to nie koniec. To początek.

Zrobiłem krótką pauzę, dla dobrego efektu. Wszystkie oczy wbite były we mnie, a zebrani chłonęli moje słowa jak gąbka.

Moc. Boska moc. Czuję ją w sobie i wiedziałem, że jestem zdolny zmusić niedowiarków do tego, by zgięli karki przed nią. I przede mną.

— Żyjemy w świecie pośpiechu — kontynuowałem. — Wciąż gdzieś biegniemy, nie mamy czasu dla siebie, na własne myśli. W codziennej gonitwie, w walce o sławę, pieniądze, utrzymanie się na rynku, zapewnienie dobrego bytu rodzinie nie zauważamy Boga. Zatraciliśmy poczucie, że materialny świat to stan przejściowy, w którym tkwimy przez nanosekundę w porównaniu z nieskończonością istnienia Boga. Ciało to tylko ziemską powłoką, coś, co porzucimy, udając się w dalszą drogę. Dla jednych będzie to droga światłości, dla innych mroczny koniec. Bóg jednak jest miłościwy i w swym miłosierdziu zesłał na ziemię swego syna, Jezusa, aby ten wskazywał drogę do Stwórcy, nawracał grzeszników i przywracał ich niczym utracone dzieci swojemu ojcu. Minęły dwa tysiące lat od tamtych historycznych wydarzeń, a ludzie wciąż pozostali głusi na słowo Boga, na jego miłość, na łaskę, jaką im ofiarował, dając możliwość dojścia do zbawienia. Jest nawet gorzej niż w czasach Jezusa, bo pojawiła się technologia, która sprawiła, że ludzie zrobili się leniwi, gnuśni, egoistyczni. Kult rzeczy stał się ważniejszy niż kult Najwyższego. Kochacie przedmioty bardziej niż Boga! — wrzasnąłem gniewnie, wymierzając palcem w zebranych.

Czułem, jak używki, które przyjąłem, wprawiają mnie w ekstazę, a adrenalina uderza mi do skroni. Strach padł na zebrany tłum. Widziałem prawdziwy lęk i wstyd na ich twarzach.

Władza.

O tak. Miałem ją. Wiedziałem, jak i co mam mówić, by sterować tymi bezwolnymi baranami. Prowadził mnie Bóg, to on był moim przewodnikiem, zapewniał mi posłuch i kierował czynami. Z nim mogłem wszystko!

— Tak, właśnie! Zrezygnowaliście z najlepszego ojca, jakiego mieliście, dla pieniędzy i dóbr materialnych. Dla was liczy się tylko świat doczesny. Wszyscy spłoniecie w piekle. Wy, wasi rodzice, dzieci! Wszyscy! Bez wyjątku, bez podziału na wiek czy płeć. W obliczu Boskiej potęgi jesteście zaledwie prochem. Miałkim, bezwartościowym popiołem!

Znów rozległ się płacz. To umocniło mnie w przekonaniu, że idę w dobrym kierunku. Lęk jest najlepszym z więzów i motywatorów.

— Jednakże, tak jak mówiłem, Bóg jest miłościwy. Postanowił więc dać ludzkości jeszcze jedną szansę i ponownie zesłał na ziemię Odkupiciela.

Chrystus powrócił. Chrystus znów jest między wami, gotowy nieść zbawienie i tworzyć nowy naród wybrany, ale już nie na ziemi izraelskiej, a tu — w Ameryce. W naszej ojczyźnie, w domu zwykłego rolnika z Utah przyszedł na świat nowy Jezus. Jego ludzkie wcielenie. Odrodził się, by dać wam nadzieję, by wam pomóc, by wyciągnąć was z bagna, w którym grzęźnicie. Stoi przed wami gotowy was poprowadzić. Pytanie tylko, czy go przyjmiecie, czy zachowacie się jak Izraelici, którzy doprowadzili do jego morderstwa.

— Chcemy Chrystusa! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Jezu, w tobie nasza jedyna nadzieja! — dodała płacząco jakaś blondynka z przodu. Przyglądałem się jej, była całkiem niebrzydka.

— Daj nam zbawienie! Nie opuszczaj nas, Panie! — rozległy się kolejne głosy.

Pozwoliłem tłumowi się wykrzyzczyć, nie spuszczać oczu z intrygującej blondynki. Była wpatrzona we mnie niczym w obraz. O to chodziło. Tak miało być już zawsze. Ja na świeczniku, a wokół kłęczący tłum, oddający mi hołdy i błagający o zmiłowanie.

— Dam — odpowiedziałem donośnym tonem. — Dam wam, jeśli uwierzycie. Zarzucicie wątpliwości i wierzcie, bo oto objawiam wam prawdę. Bóg Ojciec począł mnie z moją matką, śmiertelniczką, bym dał świadectwo jego istnieniu. Powołał mnie do życia, bym was prowadził jego ścieżkami. Jestem żywym cudem. Jestem synem Boga, nowym Jezusem. Przybyłem do was od Boga Najwyższego, byście za mną podążyli wprost w jego ramiona. Moje ramiona, moje ciało to jego ramiona i ciało. Jestem żywą świątynią mego Ojca. Zapraszam was do niej.

Zrobiłem gest, jakbym chciał objąć zebranych. Ludzi ogarnęła religijna euforia. Na sali zapanował rwetes. Blondynka posłała mi pełne uwielbienia spojrzenie, ocierając łzę wzruszenia. Uśmiechnąłem się do niej, a ona rozplynęła się, jakby właśnie doświadczyła orgazmu.

Moc. Boska moc.

Miałem ją w sobie. Byłem nią wypełniony.

Byłem tą mocą.

Byłem Bogiem.

— Nazywają mnie kłamcą. Błuznią przeciwko mnie i memu Ojcu! — wykrzyknąłem z emfazą, gdy odgłosy publiczności nieco ucichły. — Niedowiarki, bo do was się teraz zwracam: skoro jestem oszustem, jakim niby cudem wiem, że siedzący w piątym rządzie na miejscu dwieście dwudziestym czwartym mężczyzna, niejaki Alan Jenkins, ma dług hazardowy w wysokości stu tysięcy dolarów?

Mężczyzna siedzący we wskazanym rządzie poderwał się gwałtownie z fotela.

— Ale... nikt o tym nie wie! Jak to możliwe? — wykrzyknął wzburzony.

— Bóg wie wszystko. Nic się przed nim nie ukryje, synu — zagrzemiałem. — Widzi każdy wasz brud, każdy grzech, zna każdą tajemnicę i wie, że żdera was zgnilizna. A ja jestem Bogiem. Więc wiem to, co on. I wiem, jakie masz kłopoty w związku z tym długiem, Alanie, wiem, kto cię ściga i czego się boisz.

— To prawda. — Nieszczęśnik zasłonił twarz dłońmi. — Jestem skończony...

— Nie jesteś. — Zaprzeczyłem ruchem głowy. — Błądziłeś, ale pierwszy raz w życiu zrobiłeś coś dobrego.

— Co takiego? — zdumiał się.

— Przyszedłeś do mnie. Szukasz pomocy i ta będzie ci darowana. Nasza fundacja spłaci twoje długi. W zamian za wejście w poczet jej członków my zadbamy o ciebie i zdejmemy z twoich barków ziemskie bolączki, byś mógł skupić się na tym, co najważniejsze — na przyszłości w Panu.

— Ja... nie wiem, co powiedzieć... I jak mam dziękować... — Mężczyzna patrzył na mnie szokowany. Po jego policzkach zaczęły spływać łzy wzruszenia i wdzięczności.

— Nie mnie dziękuj, a Bogu, Panu naszemu, mojemu i twojemu Ojcu. To on mnie tu przysłał, bym trafił na ciebie i wyciągnął w twoją stronę dłoń, gdy jesteś w potrzebie. Oddawaj mu hołd wespół ze mną i poświęć mu resztę swoich dni, służąc mu u mego boku, w mojej organizacji. Wszyscy, którzy do mnie dołączają, dostąpią zbawienia, bo to ja nim jestem, po to zstąpiłem do świata ludzi, by nieść im dobrą nowinę, nawracać i zapewnić życie wieczne. „To bowiem jest woła Ojca mego, aby każdy, kto widzi

Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne. A ja go wskreszę w dniu ostatecznym” — sprytnie zacytowałem Biblię.

— Prowadź mnie, Boży Synu, ku światłości i zbawieniu — zawołał, płacząc, mężczyzna.

— Przyjdź do mnie, Alanie — powiedziałem, wyciągając ku niemu rękę.

Wybraniec pospiesznie zaczął się przeciskać w moją stronę, a zebrani bili mu brawo i skandowali jego imię. Pomogłem mu wejść na scenę, a on padł przede mną na klęczki i mocząc łzami moją szatę, całował jej brzegi.

O tak. Tak miało być. Takie było moje przeznaczenie. Być świętym, wyniesionym na ołtarze, mieć wyznawców, przyjmować hołdy i adoracje. Marzenia się spełniły. W takich chwilach moje myśli automatycznie kierowały się ku mojemu ziemskiemu ojcu — farmerowi, który dokonał swoich dni na należącej do naszej rodziny ziemi w Utah. Co by powiedział, gdyby zobaczył, dokąd doszedłem? Ja. Czarna owca rodziny. Jego niegodny syn. Szkoda, że zmarł przed dziesięcioma laty i nie mogłem pokazać mu tego, co zbudowałem. Sam. Bez jego wsparcia. Zamiast uczestniczyć w mojej chwale, zgnił w zapomnieniu w rozsypującej się ruderze, podczas gdy ja byłem milionerem, ale przede wszystkim byłem Bogiem.

Pomogłem powstać Jenkinsowi — kolejnej pozyskanej dla moich celów ofierze — po czym przekazałem go kapłanom, by wyprowadzili mężczyznę za kulisy i dopełnili formalności z czekającymi tam już prawnikami. Od teraz jego majątek powinien należeć do mnie. Miał się go zrzec na moją rzecz i oddać mi swoje życie. Od tej pory jego domem stawała się moja fundacja, a on miał zamieszkać w jednym z jej zborów. Nawet nie podejrzewał, że nie było przypadkiem, że go wybrałem. Po prostu kilka dni temu zmarł jego bardzo bogaty krewny, który pozostawił mu spadek stanowiący dziesięciokrotność hazardowego długu, jaki Alan zaciągnął. Teraz to wszystko przechodziło na moją organizację. Beneficjentem spadku stawał się Kościół Odrodzonego Chrystusa, Pana i Króla, czyli faktycznie ja.

To bardzo prosty trik. Wykorzystywać wiedzę o ludziach, o ich problemach, by ich omotać i pozyskać dla swoich celów. Uzależniałem ich od siebie nie tylko finansowo, ale i psychicznie, a wszystko w imieniu Boga.

Robiłem to dla niego, by głupie owce nareszcie odnalazły drogę do jego domu. Byłem ich pasterzem, tylko ja wiedziałem, którędy powinny kroczyć, by dotrzeć do zbawienia.

— Chcieliście cudu, oto on — zwróciłem się do tłumu, ponownie zajmując miejsce na mównicy. — Cud pomocy i wdzięczności. Cud Bożej łaski i miłosierdzia. Każdy z was może go dostąpić i podzielić los Alana Jenkinsa. Każdy może być jak on, bo każdy z was skrywa sekrety i każdy ma problemy, które znamy Bóg i ja. Tak. Wiem o was wszystko. Nie macie przede mną tajemnic. Nawet ty, Jessico, która zbierasz na leczenie dla ciężko chorej córki. — Wskazałem na siedzącą w jednym z dalszych rzędów szczupłą brunetkę, po czym przeniósłem spojrzenie na grubasa z tyłu sali. — Albo ty, Arnoldzie. Wiem, że marzysz o operacji bariatrycznej, ale jej koszty są ogromne, a ty wydajesz głodową pensję na jedzenie, które wypełnia pustkę, jaką odczuwasz, odkąd twój brat zginął w Afganistanie. Jesteś też ty, Evo, pragnąca wysłać dzieci na studia, ale to niemożliwe, gdyż ledwo wiążesz koniec z końcem jako samotna matka — mówiłem do zasiadającej nieopodal mojego podwyższenia kobiety. — Tak, moi drodzy. Każdy z was jest przepełniony troskami, słabościami i rozterkami. Ludzki, rozbity i nieszczęśliwy. Wasze problemy nie są obce memu Ojcu, Bóg nie jest ślepy na wasze błędy i cierpienie. Dlatego właśnie stoję tu dziś przed wami. Przyszedłem, aby dać świadectwo jego miłosierdziu i was uratować. Każdy, kto ma zdrowy rozum i umie kalkulować, łatwo wyliczy, co mu się bardziej opłaci: tkwienie w marazmie stanu obecnego czy zaryzykowanie i podążenie za mną, za Synem Bożym. Każdy zainteresowany uczestnictwem w mojej organizacji proszony jest o podejście teraz do moich towarzyszy w Panu. Kapłani wydadzą wam stosowne ankiety i jeśli wyrażicie taką chęć, przekażą je prawnikom fundacji, którzy prowadzą sprawy jej członków. Doczesne problemy przestaną wam ciążyć. Staniecie się prawdziwymi dziećmi Boga i już teraz otrzymacie miejsce w raj.

Po tych słowach nastąpił totalny chaos. Tak, jak się spodziewałem, rozhisteryzowany tłum rzucił się w stronę sceny, pod którą ustawili się moi pomocnicy. Ludzie przepychali się, by dotrzeć jako pierwsi, krzyczeli i bili się.

Moc. Boska moc i potęga były ze mną. Kolejny punkt na mapie Ameryki odhaczony. Pozyskałem dziś wielu nowych członków. Wiele majątków przejdzie znów na mnie. Bóg mi sprzyjał i kochał mnie, czego nie umiał czynić ziemski ojciec.

Kochały mnie też zebrane na tej sali tłumy. Niektórzy próbowali wskakiwać na scenę, by do mnie dotrzeć, by mnie dotknąć i zbliżyć się do Boskości. Ochroniarze musieli interweniować. W ich asyście opuściłem salę. Byłem nakręcony, naładowany emocjami, a używki podnosiły moje tętno, nie pozwalając ulec zmęczeniu.

W garderobie czekał już Noah, mój menedżer.

— Pomiñałeś Lindę Brow i Jamesa More’a. Nie uzdrowiłeś też Briana Cole’a — oznajmił na wejściu, sprawdzając scenariusz występu. Trzymał tłącego się papierosa w zębach. Nie znosiłem, gdy to robił. To przywracało złe wspomnienia. Mój ojciec codziennie wypalał dwie paczki. Nie chciałem o nim myśleć w tej chwili i się denerwować.

— Uznałem, że tłum jest wystarczająco podjarany — odpowiedziałem, nie kryjąc niezadowolenia. — Na cudowne uzdrowienia przyjdzie pora, gdy trafimy na większe grono sceptyków. Nie wykorzystujemy od razu wszystkich atutów. Tutejsi mieszkańcy są podatnym materiałem. To ciemnogród. Za kasę zrobią wszystko, nawet oddadzą duszę...

— Diabłu — dokończył Noah.

— Bogu — poprawiłem go, zdejmując ornat i odkładając go na fotel umieszczony przy toalecie służącej do nakładania scenicznego makijażu.

— Niech ci będzie — mruknął menedżer. — Choć obaj doskonale wiemy, że to wszystko blef. Statyści udający chorych, dane nieszczęśników potrzebujących pomocy wykradzione przez naszych hakerów lub znalezione w dokumentach pochodzących z ich koszy na śmieci...

Te słowa smagnęły mnie niczym bat. Noah był moim przyjacielem. To on pomógł mi przekształcić w potęgę lokalny zбір. Mógł więcej niż inni, bo wiedział o mnie więcej od nich. Był moim współnikiem, menedżerem, prawą ręką. Prowadził moje sprawy, dbał o terminowość, umawiał i organizował spotkania, ale jednocześnie wciąż nie wierzył w cud objawiony, którym byłem. Kwestionował moją Boskość i misję, jaką otrzymałem od Stwórcy. Traktował naszą działalność jako zwyczajną pracę

zarobkową, a mnie uważał za przeciętnego śmiertelnika, co było skandalem, bo przestałem nim być już dawno temu. O ile w ogóle kiedykolwiek nim byłem. Przez to wszystko Noah często działał mi na nerwy, a teraz, gdy byłem nakręcony, a Bóg opanował moje ciało, szczególnie raził mnie jego sceptycyzm tak jaskrawo kontrastujący z euforią tłumów.

Niesiony emocjami rzuciłem się na mojego towarzysza i pchnąłem go na ścianę, dociskając do niej. Wyrwałem mu papierosa z ust i zgasiłem na jego policzku. Byłem dużo większy od Noaha, potężny w barkach — w końcu nie od dziś dbałem o tężyznę fizyczną i reprezentatywny wygląd, bo te cechy zdecydowanie działały na moją korzyść i ułatwiały mi pozyskiwanie uwagi innych. Przeciwnik nie miał ze mną szans. Zawisł w powietrzu, rozpaczliwie usiłując dotknąć nogami podłogi, ale ja nie zwalniałem uścisku. Jedną ręką przytrzymałem go za kołnierz, drugą sięgnąłem po skrytą za paskiem broń. Zawsze nosiłem przy sobie pistolet. Służył mi do ochrony. Ze względu na moją narastającą sławę prócz rzeszy wiernych wyznawców i zwolenników zyskałem też wielu wrogów. Byli tacy, którzy grozili mi śmiercią, stalkowali. Uciszyłem kogo się dało, ale poczucie zagrożenia pozostało, dlatego nie rozstawałem się z gnatem.

— Co ty wyprawiasz? — wydyszał Noah, próbując się uwolnić. — Posrało cię?

— „Kto z was udowodni Mi grzech? Jeżeli prawdę mówię, dlaczego Mi nie wierzycie?” — ryknąłem wściekle, przykładając broń do szyi mojego towarzysza. — Znasz mnie nie od dziś, bracie, i wiesz, że nie kłamię, a mimo to wciąż nie wierzysz w moją moc i bluźnisz przeciwko Bogu, który sprawił, że opływamy w luksusy. Nasze życie to cud. Nie masz prawa w ten sposób się do mnie zwracać i mówić z pogardą o tym, co robię. Dzięki mnie masz wszystko, czego zapragniesz. Kobiety zmieniasz co noc, jeździsz luksusowymi autami i jesteś właścicielem dwóch rezydencji w Hollywood, dlatego nie mów mi, do kurwy nędzy, że to, co robię, jest blefem. Bo cię wyjębię z tego interesu i wtedy zobaczymy, czy będzie ci się wiodło równie dobrze, jak u mego boku!

— Edwardzie... Puść mnie — wydyszał Noah. — Puść, do cholery...

— Puszczę, ale najpierw wbij sobie do tego zepsutego dobrobytem fba, że nie masz do czynienia ze zwykłym człowiekiem. Jestem Bogiem,

rozumiesz? Bogiem! I tak mają mnie traktować wszyscy. Wszyscy, bez wyjątku. A ty nim jesteś! Jesteś zasranym wyjątkiem. Więc jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, lepiej zacznij mi służyć jak na wiernego apostoła przystało, a nie odwalaj sceny w stylu niewiernego Tomasza. Zrozumiano?

— Tak... — jęknął mój menedżer. — Kumam... Zrobię, co zechcesz, tylko mnie wypuść i schowaj broń. Brałeś prochy, jesteś teraz niepoczytalny. Boję się ciebie!

— W takim razie... na kolana! — wrzasnąłem, zwalniając uścisk.

Noah osunął się na ziemię i zaczął rozmasowywać przypalony policzek.

— Na kolana! — rozkazałem ponownie, kopiąc go w brzuch.

Natychmiast wypełnił polecenie. Wymierzyłem w jego głowę z odbezpieczonego pistoletu.

— A teraz mów: Ty, Edwardzie, jesteś jedynym Chrystusem, w jakiego wierzę. Jesteś prawdziwym i jedynym synem Boga tu na ziemi, a ja jestem twoim najkorniejszym z wyznawców.

Noah powtórzył moje słowa schrypniętym tonem.

— Świetnie — odparłem ukontentowany, chowając broń. — To skoro się wreszcie dogadaliśmy, skocz po coś mocniejszego do picia i przyprowadź mi tu młódkę, która zajmowała siódme miejsce od prawej strony w trzecim rzędzie. Z chęcią ją nawrócę.

Menedżer, wspierając się o ścianę, podniósł się i zgięty w pół, trzymając się za brzuch, ruszył do wyjścia odprowadzany moim szyderczym śmiechem. Drzwi za nim już miały się zamknąć, gdy ktoś przytrzymał skrzydło ręką i nieproszony wkroczył do garderoby.

— Tu nie wolno wchodzić — warknąłem, na wszelki wypadek kładąc dłoń na schowanej za plecami broni.

— Mnie wolno wszędzie wejść, wielobny — oświadczył rosły blondyn, który stanął przede mną i zamachał mi przed nosem gwiazdą odznaki. Sam nie wiem dlaczego, ale w pierwszej chwili wydał mi się skądś znajomy, jakbyśmy się już wcześniej spotkali.

— Szeryf? — Przymrużyłem oczy, by odczytać nazwę stanu zapisaną niewielkimi literami na złotej płytce, przywołując jednocześnie w pamięci jego twarz. Bezskutecznie. — Z Utah...

Niedobrze.

Nie obawiałem się stróżów prawa. Wielu z nich siedziało mi w kieszeni, byli też tacy, którzy z własnej woli wstąpili do organizacji, na czele której stałem. Pieniądze lub bogobojność trzymały tych ludzi wraz z ich rodzinami w ryzach. Jednak nachodzący mnie bez prośby o audiencję szeryf ze stanu, w którym mieściła się główna siedziba mojego Kościoła, nie wróżył nic dobrego. Nie lubiłem kłopotów. Nie miałem głowy do tego, by się nimi zajmować.

— Chyba coś się stało mojemu poprzednikowi — zainteresował się szeryf i wskazał na drzwi, za którymi zniknął wcześniej Noah.

— Nic mu nie będzie. To tylko chwilowy rozstrój żołądka — mruknąłem, z trudem kryjąc irytację wywołaną jego wścibstwem. — Czym mogę służyć, panie...

— Lambert. Szeryf Jason Lambert.

Jednak tylko mi się zdawało, że znam tego człowieka. Nie kojarzyłem jego personaliów. Może po prostu był podobny do kogoś, kogo spotkałem w przeszłości. Przez moje życie przewijały się setki, jeśli nie tysiące ludzi. Trudno bym pamiętał wszystkich.

— Zatem czym mogę panu służyć, szeryfie Lambert? Liczę, że to coś szybkiego, bo mam niewiele czasu. Ma pan pięć minut. — Postukałem znacząco w cyferblat mojego złotego roleksa.

— Jako nowy Jezus powinien pan umieć zatrzymać czas. Czy pozostał pan jedynie na etapie zamiany wody w wino? — Blondyn się zaśmiał.

Odpowiedziałem mu również śmiechem, choć w duszy rozbebeszałem go właśnie na toaletce.

— Właśnie. Jeśli o winie mowa... — Odwróciłem się w stronę barku, by mężczyzna nie zobaczył grymasu mojej twarzy i gniewu, który we mnie wzbudził. — Napije się pan, panie Lambert?

— Dziękuję. Nie piję na służbie — oznajmił.

— Ach, więc jest pan tu służbowo — wycedziłem. Zatem trafnie przeczuwałem, że jego wizyta będzie się wiązała z czymś niemiłym.

— Owszem.

— Ale tak się składa, że ja już nie jestem, więc z chęcią sobie łyknę. Dla kurażu...

— Myślałem, że Bóg nie daje panu wolnego od służby. Poza tym z tego, co kojarzę, alkohol, może poza kilkoma wyjątkami, nie jest mu miły — stwierdził i zacytował: — „Nie patrz na wino, jak się czerwieni, jak pięknie błyszczysz w kielichu, jak łatwo płynie przez gardło: bo w końcu kasa jak żmija, swój jad niby wąż wypuszcza”. Księga Przysłów.

— Nadzwyczajna znajomość Biblii — zdumiałem się. Odwróciłem się w stronę mężczyzny z pustą jeszcze szklanką. — Tego was teraz uczą w akademii policyjnej zamiast ścigania przestępców?

— Znajomość Biblii może się przydać w najróżniejszych okolicznościach, wielebny. Także w pracy policjanta. — Uśmiechnął się szeroko, po czym dodał: — „Popada w nędzę, kto lubi hulanki, nie wzbogaci się, kto lubi oliwę i wino”.

— Imponujące — skomentowałem. — Odpowiem także cytatem z Pisma Świętego: „W weselu chleb swój spożywaj i w radości pij swoje wino! Bo już ma upodobanie Bóg w twoich czynach”. Księga Koheleta. Tak się składa, że ja mam specjalne miejsce u Boga, a wszystkie moje czyny są mu miłe. Czy więc teraz mogę się już napić?

— Niech się pan nie krępuje — stwierdził Lambert beztrąsko, a ja wyciągnąłem z barku butelkę whisky.

Musiałem zachować spokój. Nie znałem pobudek działania tego człowieka ani nie wiedziałem, w jakim celu się tu znalazł. Postanowiłem pozwolić mu przedstawić to, z czym przyszedł, by później zdecydować o jego losie.

Zająłem miejsce w pluszowym fotelu stojącym obok toaletki, jednak nie zaprosiłem gościa, by także spoczął. Musi się przekonać, z kim ma do czynienia. Byłem ponad nim, należał mi się szacunek, a jego rozbawiony wyraz twarzy świadczył o tym, że kompletnie ignorował moją pozycję i za nic miał kult, jakim mnie otaczano.

— A więc? Będziemy się nadal przerzucać fragmentami Pisma czy woli pan jednak przejść do rzeczy? Czas się panu kończy, szeryfie — stwierdziłem, spoglądając na zegarek.

— Reprezentuję hrabstwo Carbon.

— Znane mi tereny — mruknąłem, udając wyluzowanego.

— Panu znana jest moja ziemia, ja natomiast z chęcią poznam pana...

— Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? — zadrwiłem.

— Niedawno awansowałem...

— Gratuluję — wszedłem mu w słowo.

— Niech się pan tak nie spieszy z gratulacjami. — Wyszczrzył białe zęby w szyderyczym uśmiechu. Miałem ochotę mu je powybijać jednego po drugim. — Nie sądzę, żeby była to dla pana dobra wiadomość.

— A czemuż to niby? — Uniosłem brew, markując zdumienie.

— Bo w przeciwieństwie do mojego poprzednika zacząłem drażnić sprawy, które ten omijał szerokim łukiem. Odkryłem na przykład, że tylko w ciągu ostatniego roku zaginęło w moim hrabstwie ponad dwieście osób. Połowa z nich to małoletni. Ślady prowadzą do starej kopalni umieszczonej na wzgórzach Castle Gate. W rejestrach te obszary należały do niejakiego Briana Shawa.

— Nie znam — oświadczyłem.

— Zaraz panu odświeżę pamięć. Ten człowiek to pana współwyznawca, dwa lata temu wstąpił do Kościoła Odrodzonego Chrystusa, Pana i Króla oraz został członkiem założonej przez pana fundacji Zdążyć ze Zbawieniem. Rodzina straciła z nim kontakt. Najbliżsi nie wiedzą, czy żyje. Konta, a także należące do niego ziemie zostały przejęte przez pana organizację, a krewni odcięci od należnych im pieniędzy. Jego bliscy zwrócili się do biura szeryfa o pomoc w odnalezieniu Briana, lecz ich zignorowano, jak wielu przed nimi. Przyjrzałem się tej sprawie, a także sprawom pozostałych zaginięć i odkryłem, że wszystkie mają jedną cechę wspólną — zawsze w jakiś sposób łączą się z panem lub pana Kościołem.

Zacisnąłem kurczowo palce na mojej szklance, jednak zachowałem kamienną twarz. Ten mężczyzna nie mógł poznać uczuć, które szalały w mojej duszy.

— Moja organizacja liczy ponad siedem milionów członków i wciąż się rozrasta — odpowiedziałem beznamiętnym tonem. — Mamy wyznawców w Ameryce i poza jej granicami. Czy pan uważa, szeryfie, że znam każdego z nich z imienia?

Lambert ponownie błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

— Skoro pan ich nie zna, sam pan sobie zaprzecza, wielebny.

— Słucham? — Zmarszczyłem brwi, ledwo tłumiąc irytację.

Ten facet działał mi na nerwy. I to bardzo. Lepiej, by uważał, bo zbytne spoufalanie się ze mną mogło się dla niego skończyć tragicznie. Byle śmiertelnik, proch z prochu nie miał prawa pluć mi w twarz i podważać moich kompetencji. Byłem synem Boga, Bogiem, a tu po raz drugi tego wieczoru ktoś traktował mnie na równi ze sobą. Noaha jeszcze byłem w stanie przetrwać, łączyła nas wieloletnia więź i tajemnice, natomiast tego całego szeryfa nie musiałem znosić. Nasza znajomość nie rokowała.

— Dopiero co podczas swojej potocznej przemowy twierdził pan, że zna pan sekrety każdego człowieka, nazywał pan po imieniu osoby z tłumu, a teraz nagle zaśłania się pan niepamięcią? — zapytał stróż prawa z nieschodzącym mu z warg ironicznym uśmiechem. — A więc kłamał pan i była to jedynie sprytna sztuczka, by pozyskać kolejnych naiwniaków gotowych oddać swoje pieniądze na rzecz pana instytucji? Wykorzystuje pan trudne położenie ludzi, by czerpać z tego dochód. Czy to są wartości chrześcijańskie?

— „Usta głupiego są jego zgubą, a wargi — pułapką na jego życie” — skwitowałem jego wypowiedź cytatem z Biblii. — Dane członków mojego Kościoła są niejawnie i bez nakazu niczego pan ze mnie nie wyciągnie, szeryfie. A teraz, jeśli nie ma pan nic mądrego do powiedzenia, proszę opuścić garderobę. Pięć minut minęło, a ja mam umówione ważne spotkanie, potem wyjeżdżam do Nowego Jorku na cykl prelekcji i muszę się do tego stosownie przygotować.

— Czyli nie zamierza pan współpracować ze mną w kwestii zaginionych z Carbonu?

— Nie mam nic wspólnego z tymi zaginięciami ani nie wiem nic na ich temat, dlatego o żadnej współpracy nie może być mowy — odpowiedziałem.

— Szkoda, bo z pana Boską mocą z pewnością byłoby łatwiej — zakpił blondyn. — W takim razie, skoro sam Boży Syn odwraca się ode mnie i od ofiar, które reprezentuję, nie pozostaje mi nic innego, jak zwrócić się do ludzkiego wymiaru sprawiedliwości. Niech pan oczekuje nakazów przeszukania terenów pana Kościoła w Carbonie. Z chęcią też zajrzę do starej kopalni i przyjrzę się bliżej działalności pana organizacji.

— Życzę powodzenia. — Wzniosłem toast na cześć jego planów. —
Wie pan, gdzie są drzwi.

Gdy Lambert opuścił pomieszczenie, duszkciem wychyliłem zawartość szklanki, po czym zgmiotłem szkło w dłoni, by odreagować stres.

Cholerny, wścibski pies. Diabli mi go przysłali. Z drugiej strony nie był pierwszym i zapewne nie ostatnim, który się mnie czepiał. Byłem sławny, moja fama rosła każdego dnia, podobnie jak bogactwo, a to przywabiało niezliczonych oszołomów, ale i zwracało na mnie uwagę stróżów prawa. Oskarżano mnie o całe zło, jakie wydarzało się na terenach stanów, w których miał siedziby mój Kościół. Zdaniem władz byłem przestępcą. Tymczasem po prostu wypełniałem Bożą powinność. Robiłem to, co kazał mi mój Ojciec w niebie. I zamierzałem czynić to dalej. Tego chciał Najwyższy — wyniesienia mnie na ołtarze. Nikt pokroju tego kutasa Lamberta nie mógł mi stanąć na drodze.

Rozległo się pukanie.

— Wejść — rozkazałem.

W drzwiach pojawił się Noah. Wciąż był blady, ale przynajmniej już nie chodził zgięty wpół.

— Dziewczyna czeka — oznajmił.

Te słowa poprawiły mi nastrój. Tego potrzebowałem — relaksu i spełnienia. Odstresowania się i zebrania myśli przed dalszym działaniem.

— Nim wejdzie, mam sprawę — oznajmiłem menedżerowi, który szykował się do opuszczenia garderoby.

— Tak? — zapytał słabo.

— Był tu niejaki szeryf Lambert z Carbonu.

— Ten wysoki blondas?

— Tak, wyszedł ode mnie przed chwilą. Nakaż naszym ostrożność w Utah. Niech podwoją ochronę Castle Gate.

— Biuro szeryfa zwęszyło trop?

— Owszem, a ten cały Lambert nie wygląda na kogoś, komu można zamknąć usta pieniędzmi czy pokusą życia wiecznego, dlatego zajmij się nim.

— Nie ma sprawy.

— Jest jeszcze kwestia nakazów. On chce przeszukać kopalnię. Zablokuj sędziów, którzy mogliby mu wydać odpowiednie zgody. Wiem, że masz swoje sposoby. Nie chcę się tym zadrećcać. To są zbyt ludzkie, przyziemne sprawy, ja jestem ponad to — stwierdziłem, nakładając na ramiona ornat i zajmując z powrotem miejsce w fotelu.

— Nie musisz się przejmować szeryfem. Zadzwoń, do kogo trzeba, a jeśli ten glina zacznie podskakiwać, skończy jak inni — oświadczył Noah.

— Jeśli nadal będzie mi deptał po piętach, sprzątnij go.

— Jasne — potaknął, po czym wyszedł, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

— Pontifex Maximus czeka na ciebie, córko — dobiegł mnie z korytarza jego głos.

Po chwili do pomieszczenia weszła szczupła blondynka, na którą zwróciłem uwagę w czasie mojego występu. Speszona stanęła na progu, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Miała na sobie skromną szarą sukienkę i błękitny sweterek. Na mój widok zrobiła się cała czerwona i pośpiesznie opuściła wzrok.

O tak.

Korność.

Wstyd.

Poczucie niższości wobec mnie.

To lubiłem. Na tym mi zależało. Dzięki temu czułem się spełniony, a moja misja nabierała sensu. Dla ludzi miałem być kimś, kto jest ponad nimi, a ta dziewczyna tak właśnie mnie traktowała — jak Boga. Tym dodatkowo u mnie zapunktowała.

— Podejdz, dziecko. — Przywołałem ją gestem.

Niepewnie zbliżyła się do mojego fotela.

— Co cię do mnie sprowadza? — zapytałem łagodnie.

— Chcę odkupić winy moich bliskich i osiągnąć zbawienie — odpowiedziała, wciąż nie patrząc mi w oczy.

Byłem zachwycony jej nieśmiałością.

— Zatem uklęknij! — nakazałem.

Dziewczyna bez wahania wypełniła polecenie. Gdy to zrobiła, wziąłem ją za podbródek i uniosłem jej głowę tak, by wreszcie spojrzała w moje

oczy. Wyczytałem w jej wzroku ból, który skrywała przed światem. A więc przysłała do mnie, by dłużej nie cierpieć, by zacząć nowe życie.

— Ufasz mi? — zapytałem.

— Bezgranicznie, wasza eminencjo — wyszeptała z trudem; moja bliskość i dotyk odbierały jej dech.

— Zatem wiedz, że zbawienie jest na wyciągnięcie twojej ręki, dziecko. Masz je przed sobą. Tylko od ciebie zależy, czy go dostąpisz — powiedziałem, rozpinając rozporek spodni.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Uważano go za anioła... A on był wcielonym diabłem

Edward Collins jest charyzmatyczny, piekielnie bogaty i niezmiernie przystojny. Seksowny, można by rzec, gdyby nie to, że takie słowo nie pasuje do bożego postać, jakiego widzą w nim setki tysięcy zwolenników Kościoła, na którego czele stoi. Sam Collins uważa się za syna Boga. I od wiernych oczekuje bezwzględnej oddania. Nie tylko duchowego. Interesują go też ich majątki... i ciała, zwłaszcza jeżeli należą do młodych, atrakcyjnych wyznawczyń.

Tak, Edward Collins nie jest aniołem miłosierdzia, lecz pozbawionym skrupułów i moralności manipulatorem. Gdy na jego drodze stanie troje ludzi – Jason Lambert, szeryf z hrabstwa Utah prowadzący śledztwo w sprawie sekty, a także siostry Rebeka i Rozalie Winston, które łączy z Collinsem wspólna przeszłość – losy całej czwórki splecą się w istic piekielny węzeł, pełen przemocy, pożądania, seksu i mrocznych sekretów. Kto z nich dostąpi zbawienia za grzechy, a kto zostanie potępiony na wieczność?

*Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy:
z nich zaś największa jest miłość*

Uwaga! Mocny thriller erotyczny!

Patroni medialni:



Aleksandra NS
Blog

